

— To... to... proszę panienki... — zaczęła jąkać niewyraźnie Wikcia, spuszczając oczy.

— Dobrze, już wiem, kto to robił i jaką rolę grała Wikcia w naszym domu. Dostanie Wikcia pensję za miesiąc, ale proszę zaraz spakować swoje rzeczy i dzisiaj jeszcze pójść sobie. Radzę to zrobić spokojnie, bez awantur, to będzie daleko lepiej dla Wikci. Wszak ciocia nie ma nic przeciw temu mojemu zarządzeniu? — zwróciła się Anielka do ciotki.

— Rób, moje dziecko, co uważasz za stosowne, ja nie wiem, co się ze mną dzieje! — jęknęła pani Krystyna zupełnie zbita z tropu, ogłuszona tą niespodzianką.

Wikcia chwilę stała ze spuszczonej oczyma, ale potem podniosła głowę, otarła łzy i machnęła lekceważąco ręką.

— A niech tam! Najgorsze już przeżyłam! Teraz się „ewakacja” skończyła, to i ja wrócę, jeszcze mnie odwieżą z wielką paradą i zadarmo! A co Ignacowi pójdzie po nosie, to pójdzie! Wróci on jeszcze do mnie, ten hycel jeden!

I Wikcia wyszła z pokoju zupełnie zadowolona ze swojej zemsty.

— No i co ciocia na to? — zagadnęła Anielka — ładnie wyglądałybyśmy, gdyby nie szczęśliwy przypadek, że ten jakiś Ignac zgłupiał, kiedy poczuł w ręku pieniądze i naraził sobie tę dziewczynę! Może tym łotrom nie udało się wykonać ich planu w całości, ale w każdym razie byłoby wiele strat i kłopotów.

— O, ja nie przebaczę tego Koncewiczowi! — szepnęła pani Krystyna, osuwając się na fotel, jakby zemdlała miała.

— Ależ, ciociu, Koncewicz właściwie nic nie winien temu, chyba tylko tyle, że głupi... No w przyszłości to już ciocia chyba będzie ostrożniejsza w wyborze rządcy.

— Ach! Prawda teraz trzeba znowu szukać rządcy i nowej służącej! Tyle kłopotów, tyle przykrości! Ach, Boże! Jakże ciężko jest radzić sobie samej kobiecie! Anielko, proszę cię daj mi dzisiaj spokój!... Głowa mnie boli...

— Spotkałem ciocię, zdążającą do szpitala... Przysłała mnie tutaj po panią! — rzekł Montwiłł do otwierającej mu drzwi Anielki — Ciocia poleciła mi, abym panią wyciągnął na jakiś spacer albo wycieczkę, bo pani bardzo zmizerniała...

— To znaczy, że przyszedł pan tutaj pod przymusem rozkazu cioci! — uśmiechnęła się Anielka — Ale to nic nie szkodzi, proszę niech pan pozwoli dalej.

— Wiedziałem, że pani umie być niekiedy złośliwą, ale nie przypuszczałem, aby pani umiała tak przekreślać ludzkie myśli i zamiary.

Roześmiali się oboje.

— Schowam jednak urazę na dnię serca — mówił dalej Montwiłł — a tymczasem wyłuszczę pani mój plan, jak spędzić dzisiejsze popołudnie.

— Istotnie ciekawa jestem, co też pan wymyślił na tak upalny dzień, jak dzisiejszy. Słucham. A zanim pan jednak zacznie mówić, proszę usiąść.

Montwiłł usiadł na miękkim foteliku, ustawionym wśród grupy palm i innych roślin doniczkowych.

— Czy pozwoli pani zapalić papierosa?

— Ej! Panie Stanisławie, cóż to znowu za chińskie ceremonie?! Chyba pan mnie chce irytować! Dym nie szkodzi mi wcale, mówiłam już panu nieraz, więc pocóż to niepotrzebne pytanie?

— Nie chcąc pani dłużej irytować, już zapaliłem papierosa. A teraz powracam do mojego planu. Pogoda dzisiaj pewna, więc chciałem pani zaproponować, abyśmy się wybrali na wycieczkę po Węłtawie statkiem parowym czyli tak zwanym po czesku „parnikiem”.

— O! za to panu ślicznie dziękuję! Nie rozumiem, jak ludzie mogą to nazwać przyjemnością, wycieczką! Tłoczyć się na zapchanym „parniku”, słusznie tak zwanym, bo się człowiek tam poci, jak w łaźni parowej, wdychać duszne rozpalone powietrze, przesycone pyłem węglowym i dymem kominów fabrycznych, podziwiać po drodze kąpiących się Czechołów i Czeszki, aby wreszcie zawitać do Branika lub Chuchel, gdzie jest dużo kamieni, dużo piasku, trochę suchotniczej trawy i ogromnie wiele stolików, ustawionych wśród kilkunastu imitacji drzew, szarych od przydrożnego pyłu. To się nazywa „pivarná v Zahradě”, pije się tam piwo i tam rzempoli na jakichś rozstrojonych instrumentach orkiestra...

— Panno Anielko! Na litość! Cóż to za surowy krytyk z pani!

— Niech pan pozwoli dokończyć mego opisu „wycieczki”. Wieć będziemy w Braniku pili „branickie” piwo, a w Chuchlach dla odmiany chuchelskie czy jakieś inne, zapłacimy za nie dwa razy tyle, ile w Pradze, a potem pójdziemy na spacer z całą gro-

madą wycieczkowiczów, napijemy się wody sodowej i kupimy sobie pierników. Aha! prawda spacer urozmaicać nam będzie kilkanaście katarynek wygrawajających nieśmiertelne: Ah! pro radi Krista Pana ja sem dnéska oženil!...

— Możemy pojechać trochę dalej, na przykład do Zawistu. Nie byłem tam jeszcze, ale słyszałem, że okolica ładna, lesista...

— Nie, panie Stanisławie! I tam będą ci krzykliwi wycieczkowicze i tam napewno będzie piwiarnia w ogródku z muzyką! Raz mnie namówili na taką wycieczkę do Branika, ale już teraz nie dam się skusić. Takie kilkogodzinne wycieczki zamiejskie nie mają najmniejszego sensu i dobre są dla tych, którzy nie mają pojęcia o tem, co to jest przyroda i jak wygląda właściwie wieś... Co innego, gdyby można pojechać na dłuższy czas i zwiedzić co i poznać coś istotnie ładnego, ale tak...

Toż to ironia poprostu takie wycieczki, kiedy mnie się nasuwają ustawicznie porównania z naszymi ślicznymi Zalesinkami...

— Pani chciałaby powrócić na wieś?! — zapytał nagle strwożonym głosem Montwiłł.

— Och! leciałabym tam w tej chwili, choćby piechotą... — odparła Anielka, nie zwracając uwagi na intonację jego głosu — Nie rozumiem doprawdy, dlaczego ciocia upiera się, aby jeszcze w Pradze pozostać...

— Naturalnie! Dąży pani tam, gdzie dla pani lepiej, bez względu na to, że tutaj zostaną tacy, którym będzie bez pani źle, bardzo źle... Cóż to jednak panią obchodzić może?

W słowach tych zabrzmiała nietajona już zupełnie gorycz.

Po raz pierwszy Montwiłł przemówił tak otwarcie, po raz pierwszy zdradził się tak wyraźnie ze swą miłością.

Anielka zadrżała. Poczula, że w powietrzu zawisło ostateczne wyznanie i przełękła się.

Tylko nie to! Taka rozmowa z Montwiłłem była ponad jej siły.

Spryt kobiecy podszeptnął jej, aby przerwać to zdradliwe sam na sam w ciszy leniwego, upalnego popołudnia letniego.

— Wie pan, panie Stanisławie — zaczęła Anielka pospiesznie, jakby nie słyszała ostatnich słów młodzieńca — aby nie utracić w zupełności pańskiego planu, zdecydowałam się jednak na małą wycieczkę, tylko pieszą i w innym nieco kierunku. Pójdziemy na Wyszehrad, na cmentarz Wyszehradzki... Tam przynajmniej jest spokój, cisza, zieleń, i można podziwiać przepiękne grobowce... Odwiedzimy grób Zeyera. Zgadza się pan, czy dobrze?

— Oczywiście, pójdziemy, gdzie pani sobie życzy.

— Poczekaj pan więc kilka minut — włożę kapelusze i przebiorę się trochę.

Anielka ubrała się prędko. Wyszli z domu, kierując się ku wybrzeżu Riegra, które wrzało świątecznym ruchem popołudniowym.

Tak jak przewidywała Anielka, u przystani oczekiwały tłumy na odjazd małych statków parowych, zdążających do mniej lub więcej odległych od Pragi miejscowości na pobrażu Węłtawy.

Anielka robiła jakieś błahawe uwagi o ludziach, o pogodzie, o mieście, aby tylko utrzymać rozmowę w tonie ogólnym, obojętnym.

Ale jakoś nie kleiła się ta rozmowa... Montwiłł wbrew zwyczajowi swemu, był małomówny. Staczał on walkę ze sobą. Niecierpliwa miłość popychała go, aby raz wreszcie rozmówić się otwarcie z Anielką, rozważa zaś nakazywała mu czekać jeszcze.

Anielka, jakby przeczuwając te jego myśli, mówiła i mówiła, usiłując wytworzyć swobodną atmosferę i snuć lekką powierzchowną rozmowę towarzyską.

Przeszli wybrzeżem wzdłuż Węłtawy i po niezliczonej ilości schodów zaczęli wstępować w górę ku Wyszehradowi.

Nie szli sami... Większe lub mniejsze grupki zwiedzających dążyły na ów praski Campo Santo, na cmentarz czeskich poetów, myślicieli, artystów.

Cmentarz wyszehradzki, przylegający do ślicznie położonego, okolonego wielkim ogrodem klasztoru — dyszał ciszą, spokojem i białością swoich marmurowych grobowców.

Ktoby jednak chciał szukać samotności, zawiódłby się przynajmniej tego dnia.

Zaraz za bramą Montwiłł uklonił się jakiemuś liczniejszemu towarzystwu, a Anielka również zamieniła ukłon z kilkoma osobami.

Gromadka nauczycieli i nauczycielek polskich, złożona z przeszło dwudziestu osób, zwiedzała cmentarz.

Wśród mężczyzn przeważali ludzie starsi, poważni, siwiejący już, ale kobiet było kilka młodych i ładnych.

Prym między niemi wiodła Stasia Staszyńska,

bardzo ładna, zgrabna i świeża w białym płóciennym „éponge” kostymie i fantazyjnym kapelusiku, ubranym polnemi kwiatami.

Jeden z nauczycieli, wdowiec z dwojgiem dzieci, nie tał się wcale z zachwytem, jaki w nim wzbudza panna Staszyńska.

Stasia żartami zbywała komplementy wdowca, nie zrażając go jednak zbyt.

Te sześć lat, które liczyła ponad dwadzieścia i gorzkie rozczarowanie z Montwiłłem, przypominały wesołej pannie, że jednak konkurentów lekceważyć nie należy.

Wdowiec-nauczyciel pomimo swoich lat przeszedł czterdziestą był mężczyzną przystojnym i miłym, miał dobrą posadę, więc ostatecznie może...

Kiedy jednak Stasia zobaczyła wchodzącą parę, urwała nagle rozmowę. Gorycz zawodu, ból odrzucenia uczucia zapiekły ją znowu w sercu.

Błyszczącymi oczyma zmierzyła Anielkę i Montwiłła. Ręka jej ścisnęła mocniej ręczną torebkę, w której od kilku dni nosiła list Walczaka.

Za chwilę postanowienie jej było gotowe.

Tak, teraz odda ten list Anielce! Przy nim! Ciekawa rzecz, jakie oni miny zrobią, co powie ta niby rozpaczająca za narzeczonym Anielka.

Przeprosiła swoje towarzystwo i śmiałym, pewnym krokiem podeszła do Anielki.

Anielka, widząc jej dziwnie błyszczące oczy i drwiącą minę, uczuła jakiś nieokreślony przestach.

— Przepraszam — wycedziła nieco przez zęby, tak jak to czyniła zwykle, kiedy była zdenerwowana — że przerywam państwu sam na sam i miłą zapewne rozmowę, ale mam interes do Anielki.

— Ależ, proszę cię, Stasiu!

Stasia wyjęła z torebki list.

— Proszono mnie, aby ci wręczyć ten list!

— List?... Do mnie? Od kogo?

— Przypuszczam, że cię ten list zainteresuje, bo to list od... twego narzeczonego...

Anielka zbladła. Oczy jej naprzód zapłonęły gniewem na niewczesny, jak mniemała, żart Stasi, ale po chwili zlagodniały i zasnuły się mgłą smutku.

— Stasiu, Stasiu — powiedziała głosem, w którym drgały łzy — jak możesz w ten sposób żartować ze mnie?!

— Ależ ja wcale nie żartuję!... Co do rzekomej śmierci pana Kazimierza zaszła pomyłka... To się często na wojnie zdarza. On żyje. Jest ranny i przebywa tutaj w Pradze w szpitalu!...

— Co?! Co ty mówisz?! Stasiu, to niepodobna, żebyś ty ze mnie drwiła tak okrutnie!

— To najszczęstsza prawda! Dowodem tego ten list! Masz, czytaj!

Anielka drżącą ręką porwała list i rozerwała kopertę.

— On, doprawdy on! Żyje!

Czy to czasem nie cudny, zwodniczy sen, z którego obudzi się za chwilę do straszliwej rzeczywistości?

Wszak tyle razy śniło się jej, że Kazimierz żyje.

I znowu czyta, odczytuje te słowa, świadczące, że los rzuca niekiedy ludziom łaskawe uśmiechy i szczęsne niespodzianki.

Żyje! naprawdę żyje!

— Kazio żyje! Zobacze go!

Wielkie, jasne, gorące łzy zaczynają płynąć po twarzy Anielki... Łzy szczęścia, któremu sama jeszcze nie dowierza.

— Stasiu! Stasiu! Jakaś ty dobra, kochana!

Anielka rzuciła się Stasi na szyję, nie zwracając na to uwagi, że zwiedzający cmentarz wycieczkowicze śledzą tę niezwykłą scenę ciekawym spojrzeniem.

A w Stasi budzą się wyrzuty sumienia. Wszak od kilku dni nosiła ten list przy sobie, mogła go oddać Anielce wcześniej, a nie oddała.

Zrozumiała, że myliła się w swych podejrzeniach i ogarnął ją wstyd, pałający wstyd przed samą sobą, a jednocześnie zbudziła się nagle sympatya do Anielki i chęć nagrodzenia krzywdy, którą jej w myślach czyniła.

— Stasiu — mówi znowu Anielka, spoglądając na list jaśniejącymi jak szafirowe gwiazdy oczyma — Kazio pisze, abym się zobaczyła z przyjacielem jego panem Krzyckim. Czy nie wiesz, gdzie mogłabym spotkać tego pana Krzyckiego?

— Ależ naturalnie, że wiem! Porucznik Krzycki jest przecież narzeczonym Hanki. Ty może nie wiesz o tem, że Hanka wychodzi za mąż?

— Hanka wychodzi za mąż?! Nie, nic nie wiedziałam.

(Dalszy ciąg nastąpi).